PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(Ciąg dalszy).

XXII.

W miesiącu Maju, w ogrodzie zamkowym w Krawarnie, na darniowéj ławce pod cieniem rozłożystéj lipy, siedział ks. Marcin z małżonką; u stóp ich igrała czteroletnia dziewczynka z niebieskiemi oczami, która świeżo zebraną wiązeczkę z kwiatów, położyła z okrzykiem radości. Rodzice trzymali się za ręce i z czułością spoglądali na rozkoszne dziecię, którego widok, pokrzepiał ich serca w niebezpieczeństwach i trudach; pięć lat bowiem pierwszych ich małżeńskiego pożycia, upłynęło wśród trosk i zawodów, a gwiazda pomyślniejszéj przyszłości, słabym dotąd przyświecała blaskiem. Kółko domowe w Krawarnie, ograniczało się teraz na kilku osobach, które składały całe towarzystwo. Przed dwoma tygodniami wyjechali księża Garlicki i Drużbacki, pierwszy do Wiednia, drugi do Węgier z ważnemi zleceniami ks. marszałka, został tylko kapelan ojciec Atanazy; major Suski mieszkał stale w Opawie, jedynie z raportami przybywał od czasu do czasu do zamku.

Kiedy młodzi małżonkowie przysłuchiwali się z upodobaniem szczebiotaniu dziecięcia, stanął niespodzianie przed niemi major Suski i oznajmił, że przyjechał pułkownik



Francuz zamyślił rzucić się do walki powtórnie, ale panna Amelja uchwyciła go za rękę.

Duhamel i czeka na rozkazy w zamku.

Wiadomość ta sprawiła silne wrażenie na umyśle ks. Marcina, zerwał się bowiem natychmiast i zawołał:

— Dobrą nowinę przynosisz majorze, już dawno z niecierpliwością oczekuję na przyjazd pułkownika, zapewne przybyli z nim je dnocześnie inni oficerowie cudzoziemcy, którzy według zapewnienia jego, ofiarowali mi swoje usługi.

— Tak jest, odparł major smutnie ruszając głową, przyjechało ich aż dwunastu, dziesięciu zostało w Opawie, dwóch tylko przyprowadził z sobą do zamku, nie wiem czy spodobają się W. Ks. M. ci francuzi, bo wyznam szczerze, że nie rozmiłowałem się w nich wcale, każdy z nich patrzy tak zuchwale, jakby urodził się już generałem; sam pułkownik Duhamel, jest to człowiek rozumny i grzeczny, choć nie wiem doprawdy, po co nam przywiózł swoją córkę, pietnastoletnią panienkę, wraz z młodą guwernantką, która tak okrutnie jest gadatliwa, że zaledwie wysiadła z kolasy, już w całym słychać ją zamku.

— Mało, jak widzę, znasz francuzów majorze, są oni wprawdzie żywi i zarozumiali, ale przytém energiczni i waleczni, ważną więc nam mogą oddać usługę. Idę natychmiast do nich i powitam Duhamela, od którego ważne spodziewam się otrzymać wiadomości.

To powiedziawszy, zwrócił się ks. Marcin do żony i rzekł:

— Pójdę naprzód z majorem, a ty kochana Anno każ przygotować śniadanie i oczekuj na nas w niebieskim pokoju, gdzie przedstawię ci tych panów i córkę Duhamela, która przez pewien przeciąg czasu pozostawać ma pod twą opieką.

Kiedy książe spiesznym krokiem dążył do zamku, towarzyszący mu major odezwał się w te słowa:

— Muszę W. Ks. M. uprzedzić, że ci dwaj oficerowie francuzcy, wszedłszy do zamku nie zdejmowali czapek; korzystali zapewne z nieprzytomności pułkownika, który rozpakowywał bagaże swoje i córki, kiedy zaś napomniałem tych panów, że nie przystoi nikomu na pokojach W. Ks. M. znajdować się z nakrytą głową, miasto uznać słuszność mojéj przestrogi, zaczęli gwizdać po grubijańsku, poczém jakieś szalone zawodzili piosnki i nie ustatkowali się pierwéj, aż spostrzegli zbliżającego się pułkownika z córką, zaczém zdjęli czapki z głowy i ucichli; otóż widzę z tego wszystkiego, że ten afront przeciwko mnie był wymierzony i że żadnego respektu nie mają dla polaków.

Skóro ks. Marcin rozmawiając z majorem Suskim, zbliżył się do drzwi pałacu, wyszedł na jego spotkanie Duhamel, prowadząc za rękę córkę, którą przedstawił księciu, powitawszy go głębokim ukłonem, poczém rzekł w języku francuzkim:

— Oddaję w ręce W. Ks. M. ten skarb mój jedyny; córka moja najdroższa, Julja, pozostanie w domu W. Ks. M., jako zakład przywiązania i wierności ojca.

Kiedy pułkownik mówił te słowa, panienka zarumieniła się mocno i spuściła w ziemię oczy, a na powitanie księcia, nie odpowiedziała nawet ukłonem, co zauważyła patrząca przez okno guwernantka, przybiegła więc pośpiesznie i zawołała: *Juliette! Juliette! mon enfant, saluez donc monsieur le prince.* Jednocześnie po téj odezwie, ukłoniły się obie księciu, który rzekł zwracając się do Duhamela:

— Przyjmuję chętnie ten piękny zakład, choć nie wątpię wcale o twéj wierności pułkowniku.

— Dwa najważniejsze zaciągnąłem zobowiązania, to jest obiecałem zamówić zdolnych oficerów, w celu uorganizowania pułku W. Ks. M., a powtóre ściągnąć z zagranicy kompanję dragonji; co do pierwszego, wywiązałem się już w części, oficerowie przybyli ze mną z Opawy, z których grona, mam honor przedstawić dwóch W. Ks. M., to jest panów Barbazan i Duclos, są to piękni i odważni młodzieńcy, nie kpy nierozważne i szalone, odznaczają się jednak tak niepospolitą walecznością, że towarzysze broni, zaręczają słowem, jako na widok najjawniejszéj śmierci, żaden z nich nie ustąpi z wyznaczonego mu stanowiska.

Wyliczał następnie pułkownik nazwiska i przymioty każdego po szczególe ze sprowadzonych oficerów, najwięcéj zaś zachwalał niejakiego p. de Ruelle, którego przeznaczał na podpułkownika grenadjerów, mówił bowiem, że z nieporównaną odwagą, łączy wysokie zdolności, których niejednokrotnie dał dowody w czasie ostatniéj wojny.

Oficerowie Barbazan i Duclos czekali w gościnnym pokoju na przybycie księcia, który wszedł w towarzystwie pułkownika Duhamela, majora Suskiego, panny Julji Duhamel i guwernantki.

— *Monsieur Barbazan, monsieur Duclos,* rzekł Duhamel, przedstawiając marszałkowi swych oficerów, którym ks. Marcin przypatrywał się bacznie, a wymieniwszy z niemi słów kilka, zawezwał przytomnych na śniadanie do jadalnego pokoju, w którym księżna oczekiwała już na przybycie gości. Duhamel przedstawił ks. Marcinowéj swą córkę i polecał jéj czułéj opiece, miał bowiem zamiar wyruszyć wkrótce do obozu Puławskiego. Guwernantka nie czekała na rekomendacje pułkownika, a sama rozpoczęła długą orację, w któréj cały zamknęła swój życiorys, z zamilczeniem tylko dat przytaczanych faktów; rozwodziła się szeroko nad wielkością i przepychem Paryża, nad powabami jéj rodzinnego kraju i żalem, którego doświadcza, z powodu wyjazdu w te obce i smutne strony. Nie wiadomo jak długo przeciągnęłaby się przemowa guwernantki, gdyby nie wezwano gości do zajęcia miejsc przy stole. Księżna posadziła przy sobie Julję, któréj ojciec zasiadł obok gospodarza domu; guwernantka wybrała najdogodniejsze dla siebie miejsce obok młodego i pięknego Barbazana, z drugiéj strony, sąsia-

dem jéj był major Suski, któremu z początku panna Amelja Dufour, przypatrywała się ciekawie, ale spotkawszy się z jego szyderczym i pogardliwym wzrokiem, odwróciła się z przestrachem i odtąd unikała jego spojrzenia jak morowéj zarazy.

Rozmowa przy stole, toczyła się ciągle w języku francuzkim, jeden tylko major nie mógł w niéj przyjąć udziału, siedział więc zachmurzony podczas biesiady, oczekując z niecierpliwością jéj końca. Książe żywą toczył rozmowę z Duhamelem, któréj głównym przedmiotem była polityka i sprawa konfederacji, doradzał mu pułkownik, aby jak najprędzéj połączył się i pogodził z generalicją, zapowiedział rychły przyjazd generała Dumouriez, który miał objąć główny kierunek wojennych działań, mówił wiele o zamiarach dworu i ministerjum paryzkiego i t. p. inne oznajmiał wiadomości, których z natężoną uwagą słuchał ks. Marcin, od czasu zaś do czasu, wtrącał własne uwagi. Nie mniéj żywą prowadził rozmowę oficer Barbazan z panną Amelją, ale treść téj, zupełnie różna była od tamtéj, wprawdzie młody francuz i guwernantka, udzielali sobie nawzajem mnóstwo szczegółów, ale takowe nic wspólnego nie miały z polityką, a dotyczyły wyłącznie prywatnego ich życia. Barbazan z wzrastającym ciągle zapałem, opowiadał swéj sąsiadce o bohaterskich i romansowych przygodach swéj przeszłości, a najdziwniejsze wydarzenia w tak plastyczne przyodziewał kształty, że niepodobna było dostrzedz w jego powieści, co było fałszem, a co prawdą, to też panna Amelja najzupełniéj wierzyła wszystkiemu, a przerywała niekiedy opowiadanie oficera, okrzykami podziwu i uwielbienia. Guwernantka odwzajemniła się wkrótce miłemu sąsiadowi, a upatrzywszy sposobną chwilę, rozwinęła cały zasób wymowy; zaczęła od opisywania swych stosunków, towarzystw i balów paryzkich, wymieniła niby nawiasem imiona wszystkich kawalerów, którzy starali się o jéj rękę, rozumie się bez wzajemności z jéj strony, bo szydziła z każdego nielitościwie, chociaż nie zapomniała także o wyliczeniu zalet nieszczęśliwych ofiar, które w ogóle tę wspólną miały wadę, że nie potrafiły pozyskać jéj zbyt srogiego serca. Najtwardsze jednak w ogniu miękczy się żelazo, to też i serce panny Amelji stopniało wkrótce pod wpływem zajmującéj rozmowy z rodakiem i jego ognistego wzroku, bo pod koniec śniadania, tkliwe posyłała mu spojrzenia, a powstali od stołu z serdecznem uściśnieniem dłoni.

Major Suski znudzony towarzystwem, którego języka nie rozumiał wcale, odetchnął dopiero swobodnie wstając od stołu i pośpieszył natychmiast do ogrodu, dla orzeźwienia się świeżém powietrzem. Ks. Marcin udał się z Duhamelem do gabinetu, gdzie sekretną odbyli naradę, reszta towarzystwa w różne rozpierzchła się strony, księżna tylko pozostała z panem Duclos, którego wypytywała się o różne szczegóły dotyczące Paryża i Wersalskiego dworu; guwernantka wyszła z uczennicą swą na przechadzkę, wkrótce zaś za nią Barbazan wysunął się nieznacznie z pokoju.

Tymczasem major nasz używał rozkoszy wonnego majowego powietrza, przechadzając się wielkiemi krokami wśród rozłożystéj alei ogrodu, kiedy nagle echo niewieściego głosu zwróciło jego uwagę. Konfederat zatrzymał się i spojrzał naokoło niechętnym wzrokiem, bo wyrwawszy się z niemiłego mu towarzystwa, sądził, że znajdzie chwilę samotności w ogrodzie; z początku nie dostrzegł nikogo, ale zaledwie parę postąpił kroków, ujrzał tuż obok furtki pannę Amelję z córką Duhamela, które stały nieporuszone przez chwilę, poczém guwernantka wskazała ręką uczenicy lewą stronę ogrodu, sama zaś zwróciła na prawo i w gęstéj znikła alei. Julja wypełniając rozkaz swéj przełożonéj, pobiegła ku wskazanemu przez nią miejscu i z dziecięcą ciekawością przypatrywała się bacznie drzewom i kwiatom, których wielka była obfitość i rozmaitość w Krawarnie. Major był niewidzialnym świadkiem téj sceny, zastanowiło go oddalenie guwernantki, więc pokręcił wąsa, a wzrok zatapiając w ziemię, rzekł sam do siebie: ten manewr nie jest bez kozery, przysiągłbym za to, że jejmość panna guwernantka i jegomość pan oficer, po tém dzisiejszém śniadaniu, dostali zawrotu głowy; jeżeli tak jest, jak myślę, piękna z niéj jest mistrzyni i dobry ztąd przykład dla uczenicy, córki pułkownika, któréj nauka zaczyna się od lekcji amorów. Muszę przekonać się naocznie co w tém się święci.... a jeżeli schwytam panów francuzów na gorącym uczynku, ostrzegę natychmiast ks. Marcina, a głównie księżnę panią, która jako jest pobożną i cnotliwą, zlęknie się pewnie takiéj zarazy w domu....

Tak rozprawiając sam z sobą, szedł major gęstą aleją ku stronie ogrodu, w którą udała się guwernantka, jakoż wkrótce ujrzał pomiędzy kląbami niebieski szlak sukni i pąsową wstążkę panny Amelji, zatém przekonał się dowodnie, że podejrzenia jego były aż nadto sprawiedliwe. Stanął major za drzewem, poprawił czapkę na głowie, a wychyliwszy się ku stronie klombu, zobaczył następującą romansową scenę: kawaler Barbazan klęczał u nóg guwernantki, ściskając i całując jéj dłonie, od czasu zaś do czasu, zmieniała się akcja, bo przykładał jéj rękę do serca i gorące powtarzał przysięgi, kiedy zalotna Amelja, raz strzeliste posyłała wejrzenie, to znów odwracała z uśmiechem głowę i niby znudzona jego natręctwem, usuwała się o parę kroków.

Major oburzony tym widokiem, a może też zadowolony w duszy, że zdoła pomścić się teraz za lekceważenie i zniewagę, któréj doznał od Barbazana, wyskoczył nagle z za drzewa,

klasnął z całéj siły w dłonie i zawołał z szyderczym uśmiechem: w dobréj jak widzę wacpanna z oficerem kompanji, szkoda tylko, że jéj młoda uczenica, nie jest przytomna téj lekcji, bo pewnie w las by nie poszła tak przykładna i gorliwa nauka.

Jakkolwiek kochankowie nie zrozumieli ani jednego słowa odezwy majora, zobaczywszy go niespodziewanie zadrżeli z przerażenia i zgrozy, jakby na widok szatana, ale oficer ochłonął prędko z pierwszego wrażenia podziwu, a uniesiony uczuciem gniewu, wydobył szpadę i rzucił się z wściekłością na majora, który również w oka mgnieniu wydostał z pochwy szablę i odparł zamach przeciwnika. Romansowa scena w ogrodzie, zakończyłaby się niezawodnie krwi przelewem, gdyby nie przytomność i odwaga panny Amelji, która z rozpaczliwym okrzykiem, skoczyła pomiędzy walczących i powstrzymała ich zapęd.

Rozdzieleni przeciwnicy, okazali widoczne niezadowolenie, z powodu wmięszania się do ich sprawy guwernantki; major splunął z pogardą i na znak groźby, podniósł swą szablę; francuz zamyślał rzucić się do walki powtórnie, ale panna Amelja uchwyciła go za rękę i zaklęła na miłość Boga, ażeby pohamował swój zapał. Barbazan spostrzegłszy łzy w oczach panny, wymienił tylko kilka słów z pogróżką i nakłonił się do jéj prośby, następnie prowadzony przez nią za rękę, udał się w przeciwną stronę.

Major na widok ustępującego francuza, potrząsał jeszcze szablą, miotał obelgi, poczem ruszył pośpiesznym krokiem ku stronie furtki, w zamiarze doniesienia o tym wypadku gospodarzowi domu.

Ks. Marcin ukończył już naradę z Duhamelem i siedział sam w gabinecie zajęty pisaniem listu, kiedy wszedł major Suski i zatrzymał się na progu, nie chcąc przeszkadzać księciu, ale ten usłyszawszy szelest, położył na biórku pióro, powstał z krzesła, a widząc przed sobą zapérzonego majora, zapytał:

— Pewnie jakiś ważny interes sprowadza do mnie wacpana?

— W istocie mam donieść W. Ks. M., o gorszącym wypadku, który miał miejsce przed chwilą w ogrodzie W. Ks. M., a którego naocznym byłem świadkiem. Pułkownik Duhamel nie wie może, jaką wybrał guwernantkę dla swojéj córki, nie ośmieliłby się zapewne wprowadzać ją do domu W. Ks. Mości.

— Cóż takiego, zapewne jakaś romansowa przygoda?

— Tak jest, ani mniéj, ani więcéj, jak W. Ks. M. słusznie się już domyślasz, ta wygadana guwernantka i ten hardy oficer, co tu przed chwilą w domu W. Ks. M. nie zdejmował czapki, a gwizdał i śpiewał skoro go przestrzegałem, tak zaznajomili się dobrze podczas śniadania, że wyznaczyli miłosną schadzkę w ogrodzie, dokąd i ja się udałem i widziałem na własne oczy, jak zuchwalec ten klęczał przed panną, całował jéj ręce i prawił komplementa....

— Wyborny jesteś majorze! zawołał ks. Marcin wybuchąwszy śmiechem, jest to zwyczajna romansowa scena, a ty ją z takim opowiadasz zapałem, jak gdybyś podobnéj nigdy nie widział na świecie! Wierzaj mi, że u francuzów jest to chleb bardzo powszedni, gdybyś choć miesiąc jeden pobył w Paryżu, pewnie oswoiłbyś się z tym widokiem i nie oburzał tak srodze.

— Owszem, przepraszam W. Ks. M. uniżenie, ale scena wyprawiona przez tych francuzów, nikomu podobać się nie może, a pewnie pułkownik Duhamel i J. O. Księżna, nie wielce się ucieszą, skoro wieść o tych amorach, dojdzie do ich uszów; pierwszy, nie wątpię, że jako dobry ojciec, dba o przyszłość i honor swego dziecka, a żona W. Ks. M. w szczególnéj ma pieczy honor i przyzwoitość domu. Ale nie opowiedziałem jeszcze wszystkich okoliczności, które towarzyszyły temu wypadkowi: najprzód guwernantka owa wyszła z panną Duhamel na przechadzkę, zaledwie dostała się do ogrodu, odesłała swą uczennicę w przeciwną stronę i kazała jéj chodzić w oznaczoném miejsca, sama zaś pośpieszyła na spotkanie przeklętego gacha, który, że jest wielce zarozumiały i hardy, więc skoro spostrzegł, że podszedłem ich na gorącym uczynku, skoczył do mnie z dobytą szpadą, a nauczyłbym go *mores* i uspokoił pewnie, gdyby nie instancja guwernantki, która z przeraźliwym wrzaskiem stanęła pomiędzy nami i odciągnęła zuchwalca.

— Wyborna scena do tragedji lub komedji, kochany majorze! muszę ją zapisać natychmiast na kartach mego dziennika, romans, zemsta i pojedynek. zakończony akcją bogini, która rzuca się pomiędzy walczących, w myśli ocalenia kochanka!.... Dziękuję wacpanu za tę relację, ale proszę, jako przyjaciel i nakazuję jako zwierzchnik, nie mów nikomu o tém wydarzeniu i nie kłóć się z francuzami, jutro bowiem wyprawię tych oficerów do obozu, o postępku zaś guwernantki, doniosę Duhamelowi, który jako ojciec uczennicy, najwłaściwszym będzie sędzią w téj sprawie.

— Rozkaz W. Ks. M., wykonam święcie i nie dam żadnego powodu do zaczepki, byleby JP. Barbazan sam nie rozpoczął i nie chciał zadzierać ze mną, bo wtedy dla honoru mego i W. Ks. M., nie dozwolę sobie puszczać bąków pod nosem i ukarzę śmiałka.

— Bądź o to spokojny majorze, doniosę natychmiast Duhamelowi, o całéj przygodzie, a spodziewam się, że Barbazan nie będzie się opierać rozkazowi swego pułkownika i niezwłocznie opuści Krawarnę.

XXV.

Księżna Anna, od kilku już miesięcy, rozłączona była z mężem, który podróżował dość

długi przeciąg czasu po Węgrzech, pogodził się z generalicją, nakoniec wystąpił na plac boju, ale niedługo walczył w szeregach konfederackich; stoczywszy kilka utarczek, złożył dowództwo w ręce Duhamela, w obecnéj zaś chwili znajdował się w Białéj, gdzie ważną miał naradę z niektóremi przywódcami konfederacji. Tymczasem księżna z niecierpliwością oczekiwała powrotu męża; dłuższy bowiem pobyt na Szlązku, stawał się dla niéj nieznośny, oświadczyła nawet chęć wyjazdu do Polski, do dóbr dziedzicznych męża, jakkolwiek przewidywała niebezpieczeństwa, które wykonanie tego zamiaru, ściągnąć na nią mogło. Wprawdzie ks. Anna nie była osamotnioną w Krawarnie, odwiedzali ją często z różnych stron goście, imie bowiem jéj męża, było głośne nietylko na Szlązku, ale w całych Niemczech; między innemi, przyjechał w tym czasie do Krawarny, brat jéj cioteczny August hr. Lichnowski, dziedzic znacznych posiadłości na Szlązku, a pułkownik wojsk austryjackich; wkrótce zaś po nim zawitał Ludwik Fryderyk Karol ks. Hohenlohe Oehringen, dziedziczny książe Oehringen w teraźniejszém królestwie Wirtemberskiém, dziedzic dóbr w górnym Szlązku i w Saksonji. Od czasu przybycia tych gości, mianowicie ostatniego, ruch niezwykły ożywił ustronne mieszkanie w Krawarnie; towarzyszył niemieckiemu księciu liczny poczet dworzan i urzędników, których ubiór i zwyczaje, rażącą stanowiły sprzeczność obok polaków, składających dwór ks. Marcina. Panna Julja Duhamel, była ciągłą rezydentką przy boku księżnéj, ale miejsce panny Amelji Dufour, zastąpiła inna guwernantka imieniem Luiza, świeżo sprowadzona z Paryża, pierwsza bowiem, wkrótce po wyjeździe oficerów francuzkich, sama zażądała uwolnienia od obowiązków.

Hr. Lichnowski mieszkał w zamku już od dni kilku, ks. Hohenloe przebywał w Opawie; dojeżdżał zaś tylko do do Krawarny z sekretarzem swym i marszałkiem, z licznym pocztem dworskich i strzelców, którzy zawsze towarzyszyli mu konno; odwiedził już ks. Marcinową dwukrotnie, nie mogąc zaś doczekać się powrotu jéj męża, oświadczył, że po raz ostatni przyjedzie do zamku, w zamiarze pożegnania jéj; odwiedziny te miały miejsce w miesiącu Styczniu 1771 r. Podczas długiego zimowego wieczoru, w obszernéj błękitnéj sali, na wprost płonącego na kominie ogniska, na wygodném krześle siedziała młoda księżna, w niebieskiéj mocno wyciętéj sukni, z upudrowanemi włosami, które przewiązane z tyłu, spadały w bujnych puklach na śnieżną jéj szyję. Obok księżnéj, twarzą obróconéj ku niéj, siedział krewny jéj hr. Lichnowski, mógł mieć około lat trzydziestu wieku, był wzrostu słusznego i pięknych rysów twarzy, mówił czysto po francuzku, który to język w rzeczonéj epoce, był w powszechném użyciu w wyższych sferach społeczeństwa, nietylko w Polsce, ale też w całych Niemczech. Rodzina Lichnowskich przybyła do górnego Szlązka z Niemiec na początku XVIII wieku, nabyła wkrótce znaczne posiadłości i tytuł hrabiowski, genealogowie wywodzą jéj rodowód z Burgundji. Nachylony w téj chwili gość ów prawił pięknéj krewnéj komplementa, których ona zdawała się słuchać z obojętnością, kiedy zaś wylał słów szumno brzmiących potok, w których porównywał jéj wdzięki do nieba, gwiazd, korali i t. p., znudzona przesadnemi porównaniami Anna, rzekła z westchnieniem:

— Dziwią mię wielce twoje komplementa, kuzynie; przed laty dziewięciu, widziałeś się ze mną w Wiedniu, byłam wtedy wolną a daleko młodszą i zapewne piękniejszą niż dzisiaj, nie powiedziałeś mi jednak jednego słowa, któreby mię mogło było przekonać, że gorętsze niż braterskie żywisz dla mnie sentymenta.

— Byłaś młodszą, to prawda, ale nigdy nie byłaś tak piękną, najdroższa kuzynko! widok twych wdzięków, oczarował mię od czasu przyjazdu do Krawarny, a obraz nieszczęśliwego losu, który już od lat kilku jest twoim udziałem, pobudza mię do ofiarowania ci pomocy i opieki....

— Co znaczą te słowa, panie hrabio? kto ci powiedział, że nieszczęśliwą jestem i że potrzebuję twojéj pomocy?

— Dzieje twego pożycia z mężem, najdroższa kuzynko, świadczą o tém najwymowniéj, odkąd bowiem ks. Marcin przyjął na się polityczną rolę, walcząc lub dyplomatyzując w sprawie konfederacji, tak młoda i piękna, pędzisz żywot tułaczy, najczęściéj po za granicą kraju, w ciągłém niemal rozłączeniu z mężem, który zapomina o żonie i rodzinie, uwiedziony marzeniem sławy, lub zbytnią gorliwością dla sprawy, któréj najfatalniejsze przewiduję rozwiązanie....

— Nie masz żadnego prawa kuzynie, roztrząsać mego stosunku z mężem, niech troska moja wcale cię nie obchodzi. Mój mąż pełni powinność, która tak dla mnie jest święta, że choćby największe pociągała ofiary, nie myślę go zwracać z téj drogi.

Hr. August rzucił się w téj chwili na kolana i zawołał:

— Wybacz, los twój nie może być obojętny dla tego, który cię kocha księżno całą siłą duszy, sługa twój i wielbiciel nie może cię nie ostrzedz, że ks. Marcin stoi nad przepaścią zguby, bo utraci całe swe mienie i ogłoszony zostanie bannitą!....

— Niech i tak będzie, przysięgłam mu dozgonną wiarę, więc podzielę z nim najgorsze losy.... odparła ks. Anna, spoglądając z dumą na hr. Augusta, który doświadczywszy jéj stałości, nagle powstał zarumieniony, jakby się zawstydził chwilowéj słabości, a zacisnąwszy szyderskim uśmiechem usta, spuścił oczy i przez chwil kilka patrzył

ponuro w ziemię, następnie pierwszy przerwał milczenie słowami:

— Wybacz méj śmiałości kuzynko, ale wyznam ci szczerze, że odkąd poznałem ks. Marcina, nie spodziewałem się nigdy, ażeby najniewierniejszy z mężów, tak wierną mógł mieć żonę.

Kiedy wymawiał ostatnie słowa hr. August, rozległ się hałas i trzask z bicza na dziedzińcu zamkowym, jakoż wkrótce wbiegł pokojowy księżnéj, syn majora Suskiego i oznajmił o przybyciu z Opawy ks. Hohenlohe Oehringen. Lichnowski zbliżył się jeszcze do kuzynki i rzekł z ukłonem: widzę, że zanadto długo natrętnym byłem tu gościem, może ks. Hohenlohe szczęśliwszym będzie odemnie i potrafi lepiéj zabawić moją piękną kuzynkę, jestem już przygotowanym do podróży, więc żegnam cię może na zawsze i opuszczam Krawarnę.

To powiedziawszy, ukłonił się powtórnie hrabia i wyszedł z błękitnego pokoju. Ks. Anna stała nieporuszona chwil kilka, w zadumanéj postawie, ironiczny wyraz twarzy krewnego, który nazwał Marcina najniewierniejszym z mężów, był przytomny w jéj oczach, słowa zaś jego brzmiały ciągle w jéj uszach, kiedy drzwi się od sieni rozwarły i wszedł średniego wzrostu mężczyzna, z upudrowaną głową, w zielonym fraku, z orderami na piersiach; wkrótce za nim wszedł sekretarz księcia, wysoki i chudy jak szkielet, z upudrowaną starannie głową, w niebieskim fraku. Po wzajemnych ukłonach i wymienieniu słów kilku, gospodyni wskazała miejsce obok siebie na krześle gościowi, nieco zaś opodal jego sekretarzowi. Marszałek i kamerdyner ks. Hohenlohe, pozostali w przyległym pokoju, gdzie kamerdyner księżnéj francuz Bertrand i pokojowiec Suski, oczekiwali na rozkazy pani.

Księżna rozpoczęła rozmowę następującemi słowy:

— Wyczytałam w liście W. Ks. M., że wkrótce opuszczasz naszą okolicę, ubolewam nad tém mocno, wiem bowiem, że mąż mój serdecznie żałować będzie, że utraci sposobność przyjęcia W. Ks. M. w swym domu i podziękowania mu za łaskawe jego względy.

— I ja żałuję mocno, że nie mogę poznać ks. Marcina, imię jego jest głośne w całych Niemczech, znaną jest powszechnie jego odwaga, nauka i wytworność w obejściu, tak rzadkie przymioty połączone w jednym człowieku są dostateczną pobudką do oddania mu zasłużonego hołdu. Inne jeszcze talenta twego małżonka księżno, zniewoliły mię szczególnie do zabrania z nim znajomości, jest on znawcą sztuk pięknych, których najgorętszym jestem zwolennikiem, słyszałem to od artystów malarzy, którzy w dzieła pędzla przyozdabiali jego pałace, nadto, jest on podobno mistrzem w muzyce i gra pięknie na flecie i skrzypcach, ja też lubię namiętnie muzykę, mam dobrany chór muzykantów i śpiewaków, którzy uprzyjemniają mi mój pobyt w Oehringen. O! jakże radbym serdecznie, żeby ks. Marcin odwiedził dwór mój i odpoczął po trudach obozowego życia; wierzaj mi pani, że jakkolwiek cenię wysoko jego męztwo i poświęcenie, boli mię mocno, że uwikłał się w tę konfederacką sprawę, nie spodziewam się bowiem, ażeby jego polityczne zamiary, dobrym uwieńczonym zostały skutkiem.... Oświadcz twemu mężowi księżno, że wielkie mając dla niego współczucie, w razie potrzeby, nie odmówię mu méj protekcji, znam dobrze niektóre osoby, używające wielkiego wpływu przy boku króla; wszystko uczynię dla ks. Marcina, w zamian zaś, żądać będę od niego jedynego wynagrodzenia, mianowicie, ażeby wraz z tobą raczył mię odwiedzić w rezydencji mojéj, w Oehringen....

— Dziękuję W. Ks. M. w imieniu mego męża, za łaskawą obietnicę protekcji i współczucia dla jego sprawy, nie wątpię też, że za największy poczyta obowiązek, podziękować mu osobiście za te dowody dobroci jego i łaski.

— Czy mogę się spodziewać piękna pani, że wraz z mężem twym kś. Marcinem, odwiedzisz mię w Oehringen? wielkiém by to dla mnie było szczęściem, a nadworny mój malarz, musiałby odtworzyć twój portret, który jako wzór doskonałéj piękności, najpierwsze zajął by miejsce w galerji moich obrazów.

Zarumieniona księżna spuściła oczy i odrzekła z uśmiechem:

— Żartuje W. Ks. M. ze mnie, bo nie wątpię, że znając tyle europejskich dworów, a zatém tak wiele nieporównanych, przecudnych piękności, nie potrzebuje udawać się do Krawarny, w celu odszukania wzoru dla swego malarza.

— Owszem, najszczerszą mówię prawdę, a na potwierdzenie słów mych, dodam jeszcze, że najpiękniejsze nimfy i wieszczki, o których nam prawią legendy, ukrywają się zazwyczaj w głębinach jezior, lub w cieniu gęstych lasów, a unikają gwaru miast wielkich, i dworów, wśród których tak wiele jest przepychu, a tak mało prostoty i wdzięku. O! wierzaj mi księżno, że dwór twój w Krawarnie, wydaje mi się być czarodziejskiém bogiń siedliskiem, gdzie każde drzewo jest zaklętym pałacem, a każda ptaszyna nieśmiertelnym śpiewakiem wiosny i dobréj nadziei wróżbitą....

— Jeżeli w istocie tak miłego wrażenia doświadcza W. Ks. M. w Krawarnie, czemu nie zechce pozostać dłużéj i nie zaczeka na powrót mojego męża? Odparła ks. Anna z miłym uśmiechem, wdzięcznie przechylając na bok głowę.

(d. c. n.)

ODWIEDZINY W CHANTILLY.

Dwa razy do roku na wiosnę i w jesieni, świat elegancki Paryża i Londynu, spotyka się w małém miasteczku Pikardji, o kilka godzin drogi od stolicy Francji, na kolei północnéj położonemu. Rozłożone na szerokiéj płaszczyźnie, pomiędzy lasem a rzeką, Chantilly, przypomina jakieś gniazdko rozkoszne, zanurzone we mchu zielonym. Ma téż przywiléj ściągać wielu ptaków wędrownych. Niegdyś własność książęcych rodzin Montmorençy i Kondeuszów, żyło życiem, które nań z magnackiego zamku tryskało. Z hojności i rozrzutności pańskiéj płynął jego dobrobyt. Przybywający cudzoziemcy, wielkie zostawiali pieniądze, gdyż gośćmi tu bywali oprócz królów francuzkich, Krystjan VII Duński, Gustaw III szwedzki monarcha, Paweł II, Aleksander I, monarchowic Rosji i t. p. „To też mieszkańcy tego sławnego miejsca, (pisze archeolog Cambry), tak zniszczonego i zubożałego od czasu rewolucji, przypominają zepsute przez pieszczoty rodzicielskie dzieci, które pozbawione ich opieki, muszą się uczyć jakiego rzemiosła aby na chleb zarobić. Otóż jedném z tych *rzemiosł*, z tych *przemysłów*, który żywi dziś na nieurodzajnym gruncie, zbudowane Chantilly, są ustanowione w 1832 r., pod prezydencją księcia Orleańskiego wyścigi. Książe chcąc świetnością wynagrodzić krótkotrwałość zabawy, dołączył do jéj programu, polowanie z chartami. Od tego czasu lubo zmieniła się dynastja, miasteczko ma dwie w roku świetne, po trzy dni trwające epoki, gdzie rozrywki pędzą tak szybko jedna za drugą, jak lekkonogie wierzchowce, gdzie natłok najrozmaitszych osobistości, dwóch sąsiednich narodów, rodzi nie do opisania zamieszanie. Bogacz dla chwilowego ocknięcia się z apatji, przemysłowiec dla zysku, znosi niewygodę. Jedzą wszędzie, a śpią gdzie kto może; kradną i intrygują, balują i zakładają się, kochają i kłócą. Aż nareszcie po dniach kilku, cała ta ludność napływowa, rozsypuje się w różne strony, wynosząc z sobą zadowolenie miłości własnéj, lub zawiedzione nadzieje, niekiedy z cięższą troską, a zawsze ze lżejszym workiem, podczas kiedy stali mieszkańcy, co się pousuwali do najciaśniejszych kącików, aby gościom nająć swe pokoje, rozpościerają się w nich napowrót, obliczając odniesione korzyści.

Uprzedziwszy o parę tygodni porę wyścigów, ruszyliśmy w piękny dzień kwietniowy, koleją żelazną północną z Paryża. Nie wyścigi bowiem, były celem naszéj wycieczki, lecz chęć odwiedzenia znajoméj, która zdawna w Chantilly osiadła. Jechaliśmy więc po coś lepszego jak po rozrywkę, bo po rozradowanie, jakiém zawsze napełnia uścisk dłoni bratniej.

Przebiegłszy powabną okolicę, ozłoconą słońcem wiosenném, przybyliśmy do debarkaderu Chantilly, gdzie nam wskazano, że możemy iść przez *pelouse* to jest łąkę rzadkiéj rozciągłości i równości, przytykającą z jednéj strony do lasu, z drugiéj do olbrzymich budowli, coś nakształt książęcego zamku czy pałacu. Na tle lasu, pstrzą się lekkie i eleganckie estrady, dla przypatrujących się wyścigom, na téj bowiem, krótką trawką porosłéj przestrzeni, galopują francuzkie i angielskie rumaki, walcząc pomiędzy sobą o lepsze. Grunt do tego wybornie się nadaje, nigdy tam nie jest ani grząsko, ani zbyt twardo, a płaszczyzna tak doskonała, że z każdego punktu obejmuje się dokładnie przestrzeń okiem.

Słyszałam wprawdzie, że w Chantilly są wspaniałe stajnie po Kondeuszach, ale zobaczywszy gmach olbrzymi, wspaniały i nader pięknéj architektury na krańcach *peluzy*, ani mi przez myśl przeszło, żeby to były stajnie. Tak jest jednak w istocie. Zdumionemu widzowi nastręcza się zaraz pytanie: kiedy stajnie takie, jakiż tu pałac? jest tam także obok i pałac, ale tylko dla psów. Dziś kiedy już i tych koni i psów nie stało i piękne amazonki nie gonią jeleni, a gwar uciech, grobowém zastąpiony milczeniem, przepyszny budynek potrąca tylko szereg filozoficznych uwag w umyśle podróżnika, jest bowiem dla niego nader zajmującą pozostałością z minionego świata. Główny fronton jest wprost lasu, zdobią go płaskorzeźby, wyobrażające sceny z polowania, wewnątrz zabudowań, napotkasz także marmurowe popiersia koni, łby jelenie i tym podobne ozdoby. Trzysta koni mieścić się mogło w tych stajniach, połączonych w pośrodku olbrzymią salą w kształcie rotundy, gdzie na prost drzwi frontowych tryska fontanna w marmurowy basen, a otoczona płaskorzeźbami wyobrażającemi konie Ponad nią dwa jeniusze unoszą napis: *Ludwik Henryk Bourbon, siódmy z kolei książe Kondeusz te gmachy zbudował. Zaczęte 1719, stanęły 1735 r.* Syn tego Kondeusza Ludwik Józef, przyjmując w Chantilly cesarza Pawła Igo, wyprawił w téj rotundzie ucztę po polowaniu. Muzyka grała na górnych galerjach, wodotrysk parku ztąd widzialny, oświecały ognie kolorowe, cała sala olbrzymiemi rozmiarami swemi, wdziękiem przystrojenia w podziw i uwielbienie wprawiała. Na raz podniosły się kosztowne opony, które ukrywały rozchodzące się na dwie przeciwne strony galerje i dostojni goście zobaczywszy konie przy marmurowych żłobach domyślili się wtedy dopiero, że są w stajni.

Wszystkie te budowle stanęły z kamienia, stanowiącego spodnią warstwę wyścigowego placu, czyli tak zwanéj peluzy. Zwiedzali-



Rysunek zdjęty z jednego z obrazów malowanych na ścianie w zamku Chantilly.

śmy już je nad wieczorem, a wschodzący księżyc, zastał nas jeszcze na obszernych wewnętrznych podwórzach. Wycie psów niecierpliwych, czy głodnych, doleciało nas z psiarni będącéj, jak już wspomniałam, niby pałacykiem. Szanowna przewodniczka nasza, objaśniła nam zdziwionym tą nutą tęsknoty, która nam nagle wśród nie mniéj smętnéj ciszy zagrała, że tu zamknięte są psy dzisiejszego mieszkańca Chantilly, niegdyś ministra króla Ludwika Filipa.

— Gdzież mieszka? pytamy.

— Niedaleko ztąd, w zamku,

— Gdzie zamek?

— Nieco daléj; trzeba wyjść za miasto.

Pozostawiwszy więc po za sobą łuk miejskiéj bramy i gmachy stajenne, ruszyliśmy ku parkowi, co czerniał wprost przed nami. Piękny widok naszym oczom się przedstawił. Jezioro roztaczało u stóp wzgórza swe wody przejrzyste, wzgórza wieńczyły drzewa wiekowe, służące za tło pałacowi podłużnemu, co się tuż zaraz wznosił. Był to przed niedawnemi czasy postawiony, dla syna przedostatniego Kondeusza, pałac zwany *księcia d'Enghien.* Lecz dawny zamek stoi ponad wodą, niby obmywany ciągle falą pluskającą, z plam zepsucia dawnéj arystokracji francuzkiéj i, z plam krwi wylanéj przez demagogję rewolucji. Po zupełném z tych czasów zburzeniu, wyrestaurowany, zachował jeszcze nieco dawnych malowideł, ozdobił się posągami w miejscu daleko kosztowniejszych marmurów, co dawniéj napełniały okrążające go gaje.

— Ależ to piękne! zawołaliśmy.

— Było daleko piękniejsze, odpowiedziano nam, kiedy królowie zjeżdżali się w odwiedziny, kiedy wielki Kondeusz syty zwycięztw, osiadł w Chantilly na starość i zdobił je, ulepszał, sam doglądał robót wszystkich. Z punktu parku zwanego dziś *okrągłym (Rond Point)*, wycięto na wszystkie strony ulic dwanaście. Każda z nich w dalszym przebiegu znów miała nowy punkt, z którego nowych dróg biegły promienie. *Rond Point* będący niby słońcem tego systematu, oznaczono okrągłym stołem marmurowym, na którym wielki wojownik ugościł wielkiego króla Francji, Ludwika XIV, podczas polowania, na jego cześć wyprawionego.

— Czy można tu widzieć portrety? pytamy.

— Wszystkie lepsze płótna, zabrał z sobą książe d'Aumale, chwilowy tych miejsc właściciel; między innemi był mistrzowski obraz Michała Kornela, pod nazwą: *żal wielkiego Kondeusza.* Przedstawiał sławę wydzierającą z księgi historji tę kartę, na któréj opisano przejście jego na stronę hiszpanów.

Na drugi dzień przyjrzeliśmy się miastu, znacznie porządniejszemu od naszych małych miasteczek, z brukiem, jak na Francję złym, to jest takim jak w Warszawie, z kościołem wcale pięknym, téj saméj co stajnie architektury, a gdy zacna rodaczka nasza przyniosła nam w podarunku szkic historyczny Chantilly; dokonany przez członka uczonego towarzystwa archeologów Pikardji, z większém jeszcze zajęciem powróciliśmy w okolice zamku i rozglądając się po parku wspaniałym wskrzeszaliśmy myślą te różnorodne postacie, co się po nim przesunęły.

„Samotny zamek (castel) wśród lasu nad rzeką, pisze pan Rousseau Leroy, to było Chantilly w wieku X.“

W piętnastym wieku, po różnych kolejach, dostał się przez małżeństwo na własność panom Montmorençy. Było to w najpiękniejszych czasach szewalerji; panowie czas swój między wojnę a polowanie dzielili, w chwilach zaś wolnych, fortyfikowali swe zamki. To samo też zaszło i w Chantilly. Kastel zbudowany na skale wśród lasów i bagien wzmocnił się jeszcze sztuczném obwarowaniem. Wschodzące słońce odbijało swe promienie w zbrojach mnogiéj straży, która na wałach czuwała. Liczne wieże, żelaznemi kratami opatrzone, najeżone bronią wojowników, dodawały otuchy obrońcom, a przerażały zawsze napastników.

Zmieniły się już nieco czasy, kiedy sławny konetabl Francji, Anna de Montmorençy, osiadł w Chantilly, wypadłszy z łask Franciszka Igo, który go skazał na wygnanie. Zamek był już za mały na pomieszczenie książęcego dworu, powierzchowność jego zbyt prosta i surowa, dla wzrastających potrzeb i rozwijającego się uczucia piękna, we francuzkiém społeczeństwie owych czasów. Przebudowany, powiększony, ozdobił się dziełami mistrzów. Książe bowiem postradawszy pochlebców, którzy zwykle opuszczają wypadłych z łaski monarszéj mężów, zyskał prawdziwych przyjaciół więcéj. Pomiędzy innemi, trzech znakomitych artystów, których dzieła książe oceniać umiał: Benvenuto Cellini, Leonardo da Vinci i Andrea del Sarto, odwiedzali często Chantilly. Po różnych kolejach losu, które do główniejszych wypadków historji Francji należą, kontenabl obarczony wiekiem, padł w bitwie z hugenotami. „Poddaj się!“ zawołał na niego wojownik ze strony przeciwnéj, Robert Stuart. „Zapewne mnie nie znasz,“ była odpowiedź dzielnego wodza. „Właśnie że cię znam i dla tego cię tém udaruję,“ odparł przeciwnik, strzelając doń z pistoletu. Już prawie dobity, wódz mężny do ostatniéj chwili, pchnął go jeszcze szpadą....

Chantilly stało się własnością jego synów, z których drugi, Henryk, słynny wielbiciel Marji Stuart, co nie umiał czytać ani pisać, przyjechał tu tylko na śmierć, pokutując w habicie kapucyna za życie rozwiązłe. Syn wzniósł mu posąg konny na tarasie zamkowym. Ten syn, Henryk także, ostatni potomek męzki z linji konetabla, skończył życie na rusztowaniu. Były to czasy, w których Richelieu ścinając głowy możnych, dokonywał wielkiego przeobrażenia Francji. Historja i pamiętnik

z owych czasów, przepełnione są pochwałami Henryka, ale co go najpoetyczniejszą otoczyło aureolą, to miłość jego żony Marji z książąt Ursynów, kobiéty z sercem przepełnioném tkliwością, wyraźnie stworzonej na najlepszą z matek, któréj jednak odmówiła natura tego kapłaństwa. Księżna zwana *Sylwią* w języku figurycznym ówczesnych poetów, była przedmiotem rozlicznych utworów wierszowych. Nie potrzeba zaś było pochlebców, aby jéj składać pochwały, dość było zbliżać się do niéj. Między temi poetami byli wprawdzie tacy, którym książe płacił pensję, ale byli też tylko bezinteresownie natchnieni. Styl Maireta poprawia się i myśl jego się wznosi skoro sławi: *białą Sylwię, najświeższy kwiat gajów, gwiaździstą królowę szantilskiego Olympu.*

Już robiła z mężem projekta jak w pięknéj téj rezydencji starość swą przepędzą, kiedy Gaston Orleański, brat królewski, niechętny ministrowi Richelieu, wezwał możnych do bronienia swych przywilejów. Wojna domowa zapaliła się w Langwedocji, a Montmorençy jako przedstawiciel jednéj ze znakomitszych rodzin, przyłączył się do sprawy arystokracji. Ranny w bitwie pod Castelnaudari, dostał się do niewoli i parlament w Tuluzie skazał go na śmierć. Głowa jego spadła na rusztowaniu 1632 roku.

Cóż pozostało szczęśliwéj dotąd Sylwji, gdy grób pochłonął tego, którego nad wszystko ukochała?.... Przywdziawszy sukienkę zakonu Wizytek, dopiero co założonego przez panią de Chantal, zajęła się wzniesieniem kościoła i grobowego pomnika. Piękne zaś Chantilly, miało być świadkiem ślubu siostrzeńca jéj męża, z siostrzenicą kardynała. Czerwona sutana najsroższego jéj nieprzyjaciela, przesunęła się po tych komnatach, które były jéj szczęścia świadkami. Była to boleść nie do opisania, która zapewne siostra Marja Felicja, ofiarowała Bogu w pokorze...

Tak więc gdy król Ludwik XIII, oddał księżnie Karolinie z Montmorençy Kondeuszowéj włości jéj brata, Chantilly chwilowo zatrzymane na użytek polowania królewskiego, przeszło w ręce Kondeuszów. Z tych, jak już mówiliśmy, Ludwik de Bourbon, zwany wielkim Kondeuszem, nie mało zrobił dla upiększenia téj miejscowości. Mówiono wtedy: kto nie widział Chantilly, nic nie widział. Sławne jest jego przyjęcie Ludwika XIV, które opisuje pani Sévigné, mówiąc między innemi: „Nie robiono niegdyś tyle wydatków na obchodzenie tryumfu cesarzów rzymskich,“ i t. d. Zakupiono za tysiąc talarów samych żonkillów, aby niemi obsadzić miejsce około stołu królewskiego, a kucharz Vatel przebił się z rozpaczy, że do jednego czy dwóch z pomiędzy dwudziestu pięciu stołów, pieczystego zabrakło. Starano się jednak, aby dostojnych gości nie bardzo zasmuciła ta przygoda, a król zachwycony, zapytał księcia, za jaką summę sprzedałby mu Chantilly.

— Niech Wasza Kr. Mość sam ją wyznaczy, odparł Kondeusz, ja zaś tylko proszę, aby mi tu było wolno pozostać jako odźwiernemu.

— Rozumiem cię mój kuzynie, rzekł król, Chantilly nigdy do mnie należeć nie będzie.

Od tego sutego, a jednak pełnego godności przyjęcia, jaka odmiana kiedy późniéj króluje tu obrzydła margrabina de Prie, ulubienica potomka Kondeuszów Burbon, znanego bardzo niekorzystnie w historji Francji pod imieniem *Monsieur le duc*, któremu niektórzy historycy tę jedyną tylko przyznają zasługę, że przyłożył się do połączenia Ludwika XV z naszą Marją Leszczyńską.

Chantilly przechodzi podobne jak Wersal przeobrażenia; bawią się tam w sielankę, nie słysząc burzy huczącéj już ponad głowami. Wyspa *Miłości*, często odwiedzana, napełnia się pamiątkami szczęśliwych kochanków; w lesie paziowie udający rębaczy drzewa, oczekują na wielkie damy, przebrane za pasterki; pułkownicy dragonów, przebrani za ogrodników, podlewają kwiatki, zapomniawszy nawet strzepać puder z głowy; wzdychają oparci na rydlach, lub zamiast kopać, śpiewają na cześć pięknych a okrutnych pasterek, tkliwe pieśni. Te pasterki, to hrabiny, co wychodząc z chat, umyślnie na ten cel zbudowanych, pędzą przed sobą wymyte w pachnącéj wodzie i wyczesane baranki.

Nie daleko chat stał młyn, w którym paziowie królewscy chodzili mleć mąkę. Opowiadają, że król niezmiernie lubił ciasta wypieczone z mąki zmielonéj przez tych młynarzy w Chantilly. Daléj zaś była mleczarnia, jeszcze dotąd zachowana. Są tam krzesła z orzechowego drzewa, zrobione według wskazań w sielankach Fontenella. Tam około południa, całe towarzystwo szło na świeże mleko i świeże jaja, a słodkie słówka i jeszcze słodsze spojrzenia, wymieniały się pomiędzy mleczarkami, ogrodnikami, pasterzami. Następnie pływano w gondolach, kwiatami przybranych, lub na atłasowych siodłach, pieszczone, karmione pięknemi rączkami, ujeżdżano rumaki. Rozkosz i używanie, to było hasło jedyne. Gdy jeden z Kondeuszów, przyjmował tu Ludwika XV i zaprosiwszy już poprzednio pełne prawdziwéj dostojności, córki królewskie, nie mógł zaprosić pani Dubarry, Ludwik pisząc do niéj z Chantilly, donosi „że się nudzi śmiertelnie,“ ale za to, kiedy drugi raz mógł się z nią wybrać, pani Dubarry nie może się odchwalić galanterji księcia Kondeusza. „*Je puis dire que j'étais traitée en reine; vers scènes de comédie, tout ètait pour moi et à ma louange.... Ce fût une suite continuelle de plaisirs et de fêtes....*

Załączamy tu kopję jednego z malowideł, któremi nieco późniéj ozdobił ściany sal zamkowych, zdolny pędzel Watteau, czy innego artysty w tym rodzaju. Te malowidła pozornie niezrozumiałe, mają być ostrą satyrą życia dworskiego. W postać małpią obleczono grzech wieku. Tu para małp w prześlicznym

faetonie, powożąc się sama, jedzie na przechadzkę, tutaj gra w ekarte, daléj samiec przygląda się miłośnie, jak jego dama stroi się w lustrze. Na naszym drzeworycie umieszczona scena przed mleczarnią; kochanek rwie wiśnie dla swéj kochanki, zajętéj właśnie pożywaniem świeżego mleka; każdy zaś obrazek z téj małpiéj komedji, otoczony prześlicznemi arabeskami, niby najbujniejszy wyraz fantazji, która wszystkie te szyderskie allegorje stworzyła.... Gdy terroryzm zaczął się szerzyć we Francji, książęta wyemigrowali, a wściekłe bandy rozbiegły się po kraju, szerząc wszędzie mord i zniszczenie. Z tlejącą głownią i nożem wpadli do komnat poddani, co dotąd progu zamku przestąpić nie śmieli i zabijając co żyło, drapali paznogciami mury na których przedstawione były bitwy i zwycięztwa. Runęły w fossy wieże wiekowe, padły pod siekierą stare dęby, nawet ciche bóstwa marmurowe, pozostałe na strażnicy gajów, rąk i nóg pozbawiono. Gdy odeszli nareszcie robotnicy zniszczenia, omywszy ręce w szemrzących wśród gajów strumieniach, nastąpiła tu straszna cisza, jaka zalega na zwaliskach i grobach....

Za cesarstwa, park Chantilly z lasami przyległemi, dostał się królowéj Hortensji, pałac d'Enghien i stajnie, oddano do rozporządzenia ministra wojny, które je szwadronem kawalerji obsadził, wszystko jednak było tak zniszczone, że gdy w 1814 roku, książe Kondeusz wróciwszy, przyjmował cesarza Aleksandra, deszcz lał przez sufit wspaniałéj zamkowéj galerji.

Ostatni z Kondeuszów, Ludwik Henryk de Bourbon, ojciec nieszczęsnego księcia d'Enghien, którego Napoleon Iszy roztrzelać kazał, przesiadywał często w Chantilly, nieco już wyrestaurowaném. Tu téż spoczęło jego serce, gdy go zaskoczyła śmierć gwałtowna, znaleziono go bowiem powieszonego u zasówki okna. Były jednak poszlaki, że go wpierw uduszono, podejrzenia zaś padały na kobietę, która go w starości opanowała, a za któréj namową, książe zapisał cały swój majątek krewnemu, księciu d'Aumale, synowi króla Ludwika Filipa.... Czas i historja dopiero wyświecą, kto był sprawcą téj śmierci.

Kiedy w r. 1852, sprzedaż dóbr we Francji nakazaną została książętom Orleańskim, Chantilly przeszło w posiadanie dwóch angielskich bankierów i było jakiś czas mieszkaniem ambassadora lorda Cowley, następnie wynajęte komu innemu, zaledwie jakiś cień dawnéj świetności zachowało. Dla nas mieści w sobie tę pamiątkę, że jak mi mówiono, urodził się w niém Zygmunt Krasiński, wtedy kiedy ojciec jego hr. Wincenty Krasiński zatrzymał się tu z wojskiem i żoną, która przyjechała go odwiedzić.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

UŁAMEK Z KORESPONDENCJI MNISZCHA M. W. K.

Na dowód w jak śmieszny sposób, że niepowiem dziecinny, objawiał się u nas filozofizm XVIIgo wieku, nawet w najwybrańszych umysłach, przesyłamy Kółku list Ignacego Potockiego pisany do Mniszcha między 1775—1780 rokiem. Dobrze on maluje jednę stronę ówczesnego stanu umysłowego, niby to myślącéj sfery naszego społeczeństwa, chciwie a bez braku nasycającéj się wszelkim drukiem zagranicznym. Chociaż wcale nie mówimy żeby równie wiernie malował i samego korespondenta. Myślelibyśmy raczéj, że on tu występuje w roli tego, co to Francuzi nazywają *le fanfaron du vice*, gdzie więcéj ślepego zwolennictwa dla panujących wyobrażeń, niż rzetelnéj dla nich skłonności, więcéj przechwałki niż przekonania.

Pisze z Łancuta 31 lipca, a zatém na Śty Ignacy.

„Gdybyś wiedział jak się tu bawimy, wieleby to dodało wagi memu listowi. Nic nie ujmując przyjaźni, można tu wyśmienicie zapomnieć o przyjacielu.

To się jednak JW. panu nie trafi. Przyłączam mu próbkę naszych zabaw. Z niéj utwórz sobie wyobrażenie o duchu, jaki im przewodniczy. Książe obiecuje sobie JWgo pana, ale ja nigdy dobrym wieściom nie wierzę. Co za szkoda, że dziś nie byłeś przytomny wszystkim życzeniom, które odbierałem. Dominikanie przyjemnie mnie zdziwili: chwalili mnie z pobożności, a co jeszcze gorzéj, i z świętobliwości. Udało mi się jednak uniknąć summy i gregorjańskiego śpiewu. Doprawdy, że Macedoński Aleksander nie był tak sławiony i podejmowany przez kapłanów egipskich.

W Łancucie czasu wcale nie masz i mocno się cieszę, żem go tyle znalazł ilem sobie życzył, żeby panu powiedzieć, żem wielce twój przyjaciel. Adieu.“

Robimy uwagę, że Dominikanie zapewne świadomsi gruntu rzeczy, mogli nie bez słuszności tak chwalić Ignacego.

Autograf tego listu gęsto przetykany fran-

cuzczyzną; staraliśmy się wiernie ją przetłumaczyć.

Następuje przypisek ks. Piramowicza, objaśniający to co pisze Ignacy o rodzaju zabaw Łancuckiego towarzystwa:

„Czemuż to pana Wiszniowieckiego nie mamy do społeczności wesołego przebywania. Jednoby go zasmuciło: Encyklopedję czytamy pod artykułem: Świątynia Sławy. W jednéj niszy postawiono Alfreda, żadnéj nie naznaczono Kaźmiérzowi. Ale dobrze mu tę szkodę nagradza: Pochwała Kazimierza W. przez hrabiego Mniszcha. Proszę mi pozwolić miejsca w swojéj pamięci, jako najżyczliwszemu słudze.“

Więc się z tego dowiadujemy, czém się to i jak bawiono w Łancucie. Czytano Encyklopedję francuzką, a w niéj, jak możem słusznie wnosić z tonu listu Potockiego i artykuły zapewne nie tak niewinnéj treści, jak ten wzmiankowany przez Piramowicza.

Ton ten owszem wiele nam opowiada: bo jeżeli go mamy wziąć za wyraz panującego natenczas tonu filozoficznego w całém stołeczném towarzystwie, (a czemużby nie?) czyż się on nam nie wyda tak prosto radośnym, jak radość dzieci, gdy uwolnione na chwilę od jarzma szkolnego, rozjeżdżając się do domów, rozdzierają pióra, wypróżniają kałamarze i piszą węglem na ścianach szkoły: Vivat Wakacje! Jakby te pióra i kałamarze już nigdy nie miały być potrzebne, a wakacje trwać nieskończenie.

Jakoż ledwie upłynęło lat piętnaście, a już inaczéj pisał książe Prymas do pani marszałkowéj Mniszchowéj. Cały jego list pisany po francuzku: tłumaczymy prawie dosłownie.

„Z Rzymu. Ponieważ kochana siostrzenico dochodzą mnie twoje listy w szesnaście dni, rozumiem, że mój dzisiejszy odbierzesz właśnie w wielki tydzień. Więc na los szczęścia, odważam się przemówić do ciebie rozsądnie. Ile że nieprzypuszczam, aby szał światowy miał już u ciebie całkiem zwyciężyć odzywającą się chwilami skłonność do nabożeństwa. A najpierwéj z serca przepraszam za wszystko, co ci się w moich listach mogło nie podobać i co może jeszcze się niepodoba, jeżeli będzie wola daléj do mnie pisywać. Jeślim się przeto stał niemiłym, to pewnie niechcący i dla tego znowu przepraszam. A nietylko ciebie, ale i wszystkich, których zgorszyłem własnym przykładem, zapomniawszy, lub może tylko opuściwszy się w pełnieniu przestróg zbawiennych, jakich mi matka udzieliła, kiedym miał przyjąć święcenia kapłańskie, „Poślubiłeś, mówiła, stan, w którym będzie twoim obowiązkiem, przykładem apostołować wszystkim w twojéj rodzinie i jasno im tłumaczyć rozliczne obowiązki, gdyby kiedykolwiek od nich zboczyć mieli.“ Wielka moja naówczas nieśmiałość, zwłaszcza w obec matki, nie dała jéj zapewne dostrzedz, że się z tych prawideł, jakie mi wskazywała, źle wywiążę i że owszem przeciw pierwszemu z nich, sam grzeszyć będę. Może też matka liczyła na to, że dziwna dobroć jéj córki, to cobym zepsuł moją szorstkością, naprawić potrafi. Lecz i to nienadało. W szale tym, każdy biegł na wyścig, a ja stałem się nieznośnym, prawie nienawistnym, usiłując zapobiedz złemu i ruinie powszechnéj. Tak samo Francja do tyla dała się unieść podobnemuż prądowi, a co za tém zawsze w ślad kroczy, i bezbożności, że dziś na długo upadła, pomimo przechwałki i nadzieje, że się tam potém rzeczy ku lepszemu złożą. Niemniéj i my, jesteśmy dziś w przesileniu, z którego nie wiem jak nas wyprowadzi rozum naszych mędrców. Wyznaję że trwoga, jaką mnie to przejmuje, nie daje mi należycie zrozumiéć wielu z rzeczy, o ktorych mi donosisz. Czyż to już w tym wirze zabaw szukacie tylko odurzenia? Tobym zrozumiał. Lecz jeżeli czas poprawy nie przeminął, nie mogę nad tém nie jęknąć w duszy, i nie udzielić wam tych moich upomnień na wielki tydzień“ i t. d. it. d.

„Jeżeli mnie spytasz, co sam robię, to ci powiem, że płacę moje długi i że dbam o zdrowie, żeby się nie stać ciężarem sobie i drugim, na ten ostatek dni, jakich mi jeszcze Opatrzność udzielić raczy. Serdecznie ściskam twoję matkę, jéj wnukę, wszystkich naszych, czule całując rękę króla, a jego i was przepraszając za moją otwartość i sposób w jaki się ona nie raz wyrażała.“

Otóż mamy obraz dwóch ówczesnych, że się tak wyrażę Niniwitów, ich że ręką malowany. Jednego w podniosłości i weselu, że miał szczęście „Fernejskie oddychać powietrze“ drugiego już w żalu i skrusze, że je oddychał. Jedno zaś i drugie tak siebie bliskie, że nie może nie wynijść na przestrogę dla niektórych z naszych młodszych pisarzy, aby wierni raczéj mądrości znajomego nam przysłowia, nieplwali w krynicę, gdy nie wiedzą, czy z niéj rychło napić się nie zapragną.

Nawinęły mi się te myśli, gdym niedawno przeczytał świéżo ogłoszoną monografję Samuela Łaszcza, napisaną przez nieznajomego autora, ale znać uczonego i szczerze imającego się rudy historycznéj górnika. Rzecz to interesująca i nauczająca, a zapas erudycji, a pracowitość w wertowaniu źródeł dziejowych, tyle rokujące i zalecające tego pisarza, że nie możemy go nieprosić, aby nieustawał w zawodzie. Gdyby tylko nie ten aforyzm w przedmowie, „że sąd surowy bywa zawsze sprawiedliwy“ co rodzi (mniéj może słuszną obawę), żeby autor w przyszłych swoich pracach, nie wpatrywał się w naszą przeszłość więcéj z urazą niż z miłością. Zauważyliśmy i to, że w jedném miejscu, tak coś napisał, jak to się pisało, (a już tak dawno) powyżéj z Łancuta.

Walerjan Wróblewski (Koronowicz).

DZIEWIC-WIECZÓR.

Powieść J. D. H. Temme, przełożona z niemieckiego.

(Ciąg dalszy).

W majątku barona, (ponieważ jego nazwiska żadną miarą przypomnieć sobie nie mogę, nazwijmy go tedy tak, jak się on teraz nazywa, gdyż to był właśnie ten mały, blady i brzydki pan Bertossa), służył jeden parobek, człowiek tajemniczego pochodzenia, rodem podobno z Belgji, zdolny na wszystko złe. Trzymano go jednak, bo był z niego tęgi robotnik, jakiemu nikt nie sprostał. Coś we trzy miesiące po tém zabójstwie, człowiek ten oddał się pijaństwu i widziano u niego grube pieniądze. Pewnego wieczora, będąc dobrze pijanym, rozpowiadał w szynku takie rzeczy, które objaśniały niektóre szczegóły zabójstwa handlarza. Natychmiast go przytrzymano, przetrzęsiono jego rzeczy i znaleziono przy nim jeszcze kilkaset talarów w złocie, oraz kieskę będącą własnością zabitego. Z początku zapierał się wszystkiego, lecz wreszcie zaplątał się w odpowiedziach, wyznał zbrodnię i wydał jako wspólnika, a raczéj jako głównego winowajcę, rządcę majątku, w którym służył. A ten rządca i jego nazwisko, wyleciało mi z pamięci, nie pamiętam nawet, czy mi go sędzia nazwał, zatém i jego nazwijmy jego teraźniejszém nazwiskiem; jest to narzeczony z dzisiejszego wieczoru, pan Teobald, baron von Föhrenbach. Baron! rzeczywiście.... tak,... tak,... przypominam sobie, że mi sędzia mówił, że on pochodzi ze stanu szlacheckiego, ale nazwiska, zdaje mi się, że nie wymienił.

Oto jest zeznanie parobka.

Za pozwoleniem swego pana, był na tym jarmarku, gdzie w szynku tańcował. Około północy, wywołał go rządca, a odprowadziwszy na stronę, zapytał, czy ma ochotę zarobić od 200 do 300set talarów w złocie?

— Tam do djabła! to dużo! krzyknął zadziwiony parobek.

— Ale ceną krwi! rzekł mu na to rządca.

— Panie! z tém daj mi pan pokój.

— Nie miałem ciebie za takiego tchórza.

— Panie!....

— Gadaj pan, rzekł zrezygnowany parobek, podraźniony w swojéj miłości własnéj.

— Tu nie ma co gadać, ale działać, chcesz iść za mną?

Parobek poszedł za nim. Wyszli z miasteczka, rządca prowadził swego wspólnika przez pola, łąki i zarośle; uszedłszy z dobrą godzinę zatrzymał się.

Przyszli do głównego gościńca, wysadzonego z obu stron wierzbami, przypierał tam mały lasek. Za jednym z drzew, rządca postawił parobka.

— Tu masz stać do pewnego czasu, nie ruszając się. Za kwadrans, a może za pół godziny, będzie tym gościńcem powracał konno człowiek z jarmarku, w tejże chwili jak usłyszysz wystrzał, napadnij na niego, schwyć konia za cugle i ściągnij jeźdzca na ziemię, jeżeli sam nie spadnie trafiony.

Parobek stanął za drzewem, opodal od niego za drugim, stanął rządca. Tak stali z półgodziny, tymczasem wszystko ucichło. Na raz, zdało się parobkowi, że słyszy koło drzewa, za którym stał rządca, leciutki szelest, jakby pełzanie. Zrazu sądził, że to sam rządca, znudzony oczekiwaniem, przechadzał się; ale noc była ciemna i dojrzeć nic nie mógł; to znowu zdało mu się, że ktoś szeptem rozmawia z rządcą, a ten mu nawzajem szeptem odpowiada. Potém już nic nie słyszał i był pewny, że się omylił.

W kilka minut dał się słyszeć tętent nadchodzącego stępo konia, w kierunku z miasteczka, jak to rządca zapowiedział. Najprzód musiał jeździec przejeżdżać koło drzewa za którym stał rządca, a gdy go mijał, padł wystrzał. Koń rzucił się w bok i sadził galopem, parobek przyskoczył i schwycił go za cugle. Wystrzał był dobrze wymierzony. Jeździec ledwo się już trzymał, spadł więc na ziemię; rządca podbiegł i rzucił się na niego.

— Trzymaj konia, aż póki ja z nim nie skończę, rzekł do parobka.

Parobek trzymał konia, rządca tymczasem splądrował wszystkie kieszenie jeźdzca i okradł go.

— Puszczaj teraz konia, rzekł spokojnie.

Parobek puścił konia.

— Pomóż mi go odnieść.

Wzięli tedy obydwa ciało jeźdzca i wrzucili do rowu, o dwadzieścia kroków w bok na łące.

— Na, masz twoję zapłatę, rzekł rządca, odliczając parobkowi do rąk 300 talarów złotem, czyli 60 fridrichsdorów.

— A wiele panu się dostało, panie? zapytał parobek.

— Tobie co do tego. Ruszaj do domu, ale prosto, nie przez miasteczko; staraj się przytém, żeby cię nikt nie widział, bo niech cię ktokolwiek spostrzeże, spadnie twoja głowa.

— I pańska razem, panie!

— Ba! zaśmiał się rządca.

Rozstali się. Rządca powrócił na gościniec, parobek poszedł prostą drogą przez pola, łąki i zarośle do domu; ale przechodząc koło płotu téj łąki, na któréj wrzucili ciało do rowu, zatrzymał się, obejrzał, ale nic nie obaczył, bo było ciemno. Znowu mu się zdało, że słyszy pod drzewem koło gościńca, ciche szepty; nie odważył się jednak powrócić.

— Pan rządca, mówił on w zeznaniu, mógł znowu nabić swój pistolet, albo mieć drugi przy sobie, a wtedy byłoby po mnie. To człowiek, któren na wszystko się waży. A kto wie, kto tam był przy nim?

Parobek powrócił do domu, już koło czwartéj z rana, a że to się działo w Październiku, więc było jeszcze ciemno.

— Czy pan i rządca są już w domu? spytał drugiego parobka.

— Powrócili jeszcze przed północą, odpowiedział tenże.

Zdziwiło go to ogromnie, ale o więcéj nie pytał. Rządca zaś, nigdy z nim nie mówił o tém co zaszło.

Na tém kończyło się zeznanie parobka.

Przeciw sobie, złożył zeznanie, które nie potrzebowało większych dowodów; zaś to co mówił przeciw rządcy, trzeba było stwierdzić gruntowniejszemi dowodami. Mógł i ten złożyć dobrowolne zeznanie, a więc przyaresztowano i jego. Z największą starannością zrobiono w jego rzeczach rewizję, ale nic nie znaleziono, coby go obwiniało o zbrodnię. Zeznania dobrowolnego od niego nie otrzymano. Przy śledztwie, innych dowodów brakło, a w tłomaczeniu, nie można go było złapać na żadnéj sprzeczności. Był przytém spokojny, ani razu się nie zmieszał, a zeznania parobka, zwał prostém kłamstwem, którego celu nawet zrozumieć nie mógł. Gdy go postawiono z oskarżycielem oko w oko, pozostał również obojętnym, spokojnym, pełnym powagi; na zarzut, jakoby miał być współwinowajcą, przytoczył dowód przeczący; ponieważ jeszcze o jedenastéj opuścił jarmark wraz z panem baronem, jechali w jednym powozie i jeszcze przed północą byli w domu. Furman, który ich wiózł, potwierdził te słowa; następnie, mieszkańcy miasteczka widzieli ich o téj godzinie wyjeżdżających, a ludzie ze dworu, widzieli ich powrót.

Czy parobek rzeczywiście kłamliwie wskazał jako wspólnika, człowieka niewinnego, na to brakło sędziemu prawnych dowodów; chociaż moralnie był przekonanym o prawdzie tego zeznania. Zeznania innych ludzi nic nie dowodziły, bo rządca, powróciwszy do domu, mógł pospieszyć do lasu dla wykonania zabójstwa. Trzeba było jeszcze przesłuchać pana barona; sędzia zostawił to na sam koniec, dla wiadomych jedynie sobie przyczyn.

Interesa majątkowe pana barona, nie były w stanie kwitnącym, długów pełno, kredytorom wypłacał procenta bardzo nieregularnie; ściśle był złączony ze swoim rządcą, prócz tego nikt mu nie dowierzał; gdyż w dodatku do niemiłéj fizognomji, miał nie szczególną opinję u ludzi. Na jarmarku poniterował do banku handlarza i przegrał wszystko co miał przy sobie. Zresztą, któżby był ten człowiek, z którym rządca rozmawiał po cichu, raz wpierw, a drugi raz po dokonanéj zbrodni? Sam morderca, tym śmieléj działał, mając świeżą wiadomość o rychłém przybyciu nieszczęśliwego kupca.

W dniu, w którym odwiedziłem mego przyjaciela, sprawa ta była już na ukończeniu.

Baron tłomaczył się jasno i roztropnie i również żadnéj sprzeczności zarzucić mu nie było można. Był powierzchownie spokojny, lecz za to w duszy wrzała śmiertelna trwoga, jak to znać było z dzikiego wejrzenia i bladéj twarzy. Przy tém wzruszeniu, sądzę, że mojéj obecności nie zauważył. Oni obydwaj są winni, rzekł do mnie sędzia. Mówi mi to moje wewnętrzne przekonanie, chociaż nie mam prawnych dowodów. Parobek, którego skusili, będzie skazany na śmierć, a oni! kusiciele! prawdziwi zbójcy, pozostaną wolni! Barona nie można nawet pociągnąć do śledztwa, a rządcę, trzeba będzie tymczasowo oswobodzić. Czy tobie czasem nie przychodzi co na myśl, czy nie masz jakiego fortelu, żeby wyświecić ich zbrodnię?

Po długiém milczeniu, musiałem przyznać, że i mi nic podobnego na myśl nie przyszło.

— Pokaż mi jednak tego rządcę, rzekłem do sędziego.

Weszliśmy więc do więzienia, niby chcąc je obejrzeć; tym sposobem przypatrzyłem się fizognomji, domniemanego winowajcy. Od razu poznałem z téj ponuréj, zrezygnowanéj i tajemniczéj twarzy, że człowiek ten nad to co już raz powiedział, nic więcéj nie wyjawi, a baron, miał być jeszcze zawziętszym.

— Nie zadawaj sobie daremnie pracy, rzekłem do inkwirenta, cała nadzieja przepadła; według naszych praw, obydwom nie można nic dowieść; parobek tylko będzie skazany na śmierć, jeżeli łaska króla nie zmieni wyroku.

Tak się też stało. W pół roku potém donosił mnie mój przyjaciel, że sądy nie mogąc dowieść prawnie zbrodni obu tych ludzi, barona nie pociągnęły do śledztwa, a rządcę uwolniły. Parobka skazano na śmierć, ale król zmienił karę drogą łaski na dożywotnie więzienie w domu poprawy; na téj zasadzie, że ponieważ sędziowie, mając moralne przekonanie o winie rządcy, uwolnili go dla braku dowodów, kara, naznaczona mniéj winnemu, byłaby za ostrą.

W kilka tygodni potém, baron sprzedał majątek i przeniósł się w inne strony, nie wiadomo gdzie. Żona jego, jeszcze podczas śledztwa, odebrała znaczną sukcesję; nie było w tém nic podejrzanego, bo pieniądze, w części były jéj doręczone przez sam urząd. Jednocześnie rządca znikł z téj okolicy.

Zapomniałem ci jeszcze powiedzieć o sto-

sunkach dawniejszych barona, ze swoim rządcą, jak się to ze śledztwa pokazało. Baron był rodem z téjże okolicy, pochodził ze szlacheckiéj ale z ubożałéj rodziny. W młodości swojéj opuścił kraj i służył w obcém wojsku, podobno w Rzymie czy w Neapolu. Piętnaście lat temu jak powrócił z żoną włoszką i dwojgiem dzieci, aby osiąść w ojcowskim majątku. Rządca był synem emeryta wojskowego, któren mieszkał w sąsiednim miasteczku i utrzymywał się ubogo ze swéj emerytury. Jeszcze za życia ojca, był wielkim nic dobrego, zaś po jego śmierci, nie było dość złéj sprawy, któréjby się nie podjął i nie wykonał; po śmierci matki swojéj, uczęszczał jakiś czas do szkół, tych nie skończył i oddał się gospodarstwu; a od trzech lat był rządcą w dobrach barona, któren z jego ojcem był w wielkiéj przyjaźni.

Oto i wszystko co opowiedziałem memu przyjacielowi, poborcy podatków.

— A teraz? spytał tenże.

— A teraz!.... ci zbrodniarze! ci mordercy, którym tylko prawnie nie dowiedziono zbrodni, są tu obecni, a my, przyjmujemy gościnność w ich domu.

W tamtéj okolicy honor ich był zagrożony, spokojność zatruta. Nie byli też całkowicie uwolnieni z podejrzenia. Lada okoliczność mogła odkryć nowe dowody; te spowodowałyby poszukiwanie, a koniec końcem nastąpiłaby kara. Ot dlaczego musieli się wynieść, chociaż baron, przez sukcesję żony, został wielce bogatym.

Z całém swojém bogactwem, przybrawszy inne nazwisko, zarył się w ten kątek ukryty. Jednocześnie musiał się rozłączyć z współwinowajcą, z swoim rządcą. Samo późniejsze ich połączenie, byłoby dostateczném dla ich obwinienia; przynajmniéj obwiniałoby najwięcéj barona. A więc wiele mu na tém zależeć musiało, żeby się pozbyć tego zuchwałego i hardego człowieka, z którém widać dawniéj już może nie jedną zbrodnię wspólnie wykonał i ztąd ten uzyskał tak wielką władzę nad nim i trzymał go całkiem w swém ręku. Lecz przekleństwo zbrodni nie odstępuje tak łatwo winowajcy, ściga go i prześladuje wszędzie. Ten nędznik odszukał swego wspólnika, uczepił się doń, tyranizując na każdym kroku całą jego rodzinę, a zrobiwszy z nich wszystkich swoje ofiary, jutro ma poprowadzić przed ołtarz ślubny, to biedne, blade, na pół obumarłe dziecię! Co za zgroza! I nie mają żadnego ratunku, żadnéj nadziei! żaden promień nie oświeci im wyjścia z tego labiryntu nieszczęścia i kary niebieskiéj, która częściéj może od ziemskiéj pada na winnych! A tenże syn nieobecny, o którym z boleścią i niepokojem oczekują wieści? Czyż już w tém samém nie widać przedwiecznéj sprawiedliwości?!...

Ale powróćmy już do biednego Holma, na którego także spadła cząstka tej kary; może on nam co wykryje.

V.

Opuściliśmy ogród, udając się na dziedziniec, sądząc, że Holm jeszcze tam oczekiwał, jeżeli już sama pani domu z nim się nie widziała. Musieliśmy przechodzić przez dom mieszkalny, gdzie nas pani Bertossa spotkała, była bardzo pomieszaną jakby powzięła jakąś straszną wiadomość.

Wyszła naprzeciw nas.

— Pan chciałeś zaprowadzić mnie do Holma, rzekła obracając się do poborcy, jeszcze z nim nie mówiłam, właśnie szłam do niego. Czy mogę prosić, żebyś mię pan zaprowadził?

— I myśmy szli także do niego, odrzekł poborca.

Spojrzała z niedowierzaniem, szczególnie na mnie.

— Czy wolno się zapytać, w jakim celu?

— Łaskawa pani, odpowiedział mój przyjaciel, mąż pani musiał jéj przywieźć jakąś nieprzyjemną wiadomość, lękałem się żebyś pani nie zapomniała o Holmie, otóż chcieliśmy go poprosić, żeby trochę zaczekał.

Poborca wymówił to z współczuciem i z troskliwością przyjaciela. Prawdziwie mi żal było téj kobiety.

— Rzeczywiście nie przywiózł mój mąż nic pocieszającego i jeżeli Holm!.. urwała, spojrzała jeszcze raz niedowierzająco na mnie. Z moich rysów nic prócz litości wyczytać nie mogła, z jéj twarzy znikł ostatek nieufności, czuła potrzebę wynurzyć, co miała na sercu.

— O moi panowie! rzekła, czy mogę pierwéj z wami kilka słów pomówić, osobliwie z panem, panie radco, jako z okręgowym sędzią kryminalnym? Proszę panów za mną, jeśli łaska.

A gdyśmy już weszli za nią do pokoju.

— Nie wiemy co się stało z naszym synem Ulrykiem, rzekła, z naszym jedynym synem. Przed tygodniem udał się on w podróż i miał być z powrotem trzy dni temu; tymczasem do téj pory nie mamy żadnéj o nim wiadomości. Mój mąż czynił poszukiwania przez dzień dzisiejszy i przywiózł wiadomość, że już przed czterema dniami opuścił miejsce, w którém pozostawał. Pana, jako okręgowego sędziego, dochodzą różne wiadomości, czy nie słyszał pan co o nim?

Zrobiło mi się ciężko na sercu; czyżby to on był, ten zabity? pomyślałem.

— Jakiejże wiadomości, łaskawa pani oczekuje, spytałem, ja jestem sędzią kryminalnym.

— Ja nie wiem, odpowiedziała.

— W jakim wieku jest syn państwa?

— Ma lat dwadzieścia pięć.

— Dokąd że udał się w podróż?

Nazwała mi małe miasteczko z okolicy, o mil siedm czy ośm odległe.

— I pani powiada, że już cztery dni jak ztamtąd wyjechał?

— Z zamiarem powrócenia prosto do domu, jak sam nam zapowiedział.

— Czy tę podróż przedsięwziął w jakim interesie?

— Chciał żyto sprzedać, bo tam bywają wielkie jarmarki na zboże.

— Czy sam jeden udał się w podróż?

— Sam jeden i piechotą; to było jego zwyczajem, chodził też chętnie po całéj okolicy, zbaczając z drogi to tu, to tam.

— Przepraszam panią, ale ja nic o nim nie wiem.

— Ależ pan rozpytywałeś się tak szczegółowo, jak gdybyś koniecznie coś wiedział.

— Szczegóły te, są mi potrzebne w poszukiwaniach, które zaraz nazajutrz rozpocznę. Czy nie zechciałaby pani teraz widzieć się z panem Holmem?

Chętnie się na to zgodziła. Przeszliśmy na dziedziniec do Holma. On, nie wszedłby do tego domu, z którego go wypędzono; a ona, nie chciała go do tego ośmielić. Holm, stał oczekując za drzewem, na drugim końcu dziedzińca, gdzieśmy go porzucili przed półgodziną.

— Pan masz wiadomości o Ulryku, panie Holm? rzekła podbiegając do niego nieszczęśliwa matka.

— Mam i nie mam łaskawa pani.

— Czy dobre?

— Nie wiem.

— Pewno złe; czuję to, ale proszę przedemną nic nie ukrywać.

Wyraz twarzy młodego człowieka, nie zapowiadał nic dobrego; słusznie to przewidziała, lecz z jéj powierzchowności nie można było wnosić, żeby dorozumiewała się śmierci syna.

Holm spojrzał raz jeszcze z niedowierzaniem na mnie.

— Ten pan powinien wiedzieć wszystko, rzekła prędko pani domu.

— Ulryk jeszcze w sobotę wyszedł z jarmarku.

— Wiem o tém! mój mąż go tam szukał. Nie masz pan innych śladów?

— Pozwól mi, łaskawa pani, opowiadać z początku. Przed tygodniem, we środę był u mnie, przyszedł z domu, przynosząc mi różne wiadomości i ukłony....

Zająknął się. Przyjaciel przynosił mu ukłony, ostatnie ukłony od siostry!

Po krótkiéj pauzie, tak ciągnął daléj:

— Ulryk mówił mi, że idzie na targ zbożowy, i że w poniedziałek powracając, zajdzie znowu do mnie, już w Piątek miał być koniec targu, więc zapytałem go, dla czego dopiero aż w Poniedziałek będzie powracać, nie chciał mi się zrazu przyznać, ale w końcu wyznał, że.... niechżeż pani wie wszystko,... że, ma zamiar zajść jeszcze do Henryjety, owéj młodéj dziewczyny z którą nie pozwalaliście mu się żenić dla niedobréj opinji jaką ma u ludzi.

— Wielki Boże! zawołała smutno kobieta, ale opowiadaj pan daléj.—Udałem się więc do Henryjety; mówiła, że oddawna nie widziała Ulryka.

Ulryk miał tylko dwie drogi przed sobą, albo do Szubina, albo do domu. Rozpytując się wszędzie, powróciłem znowu do Szubina. Tu o nim nic nie wiedziano. Poszedłem jeszcze raz do mieszkania Henryjety, i znowu ją wypytywałem. Było to dziś po południu. Opowiedziałem jéj, że Ulryk chciał ją odwiedzieć i że ja go szukam od sześciu dni. Nagle się zmieszała i zbladła.

— Co ci jest? spytałem.

— O mój Boże! zawołała, jeżeli to on?

— Kto? spytałem.

— Nie, to być nie może, jakimby on sposobem tam się dostał?

— Opowiadaj, rzekłem zniecierpliwiony.

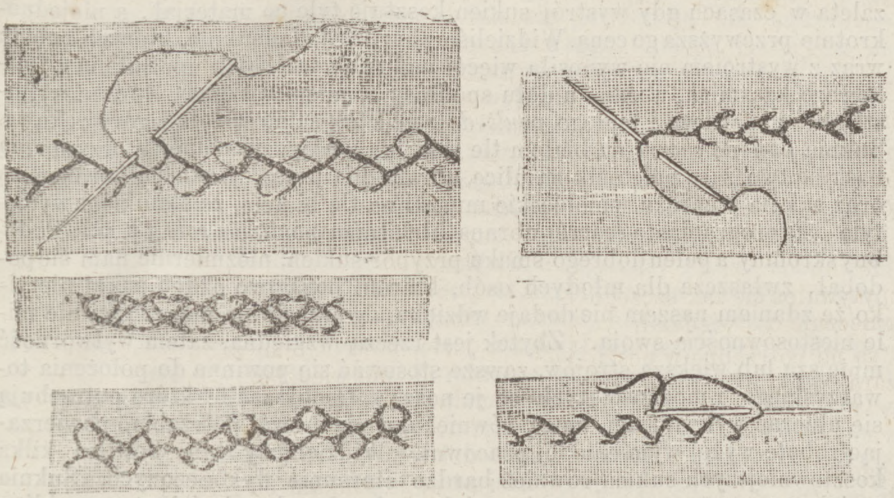
— Niechże pan słucha.... Ale nie!.... to nie może być Ulryk!.... Rano był u nas jeden z pogranicznych urzędników, któren dzisiejszéj nocy spotkał się ze strażnikiem, a ten mu opowiadał, że po tamtéj stronie granicy, znaleziono ciało zabitego człowieka, rodem z Prus. Mówił o tém dziś rano z pewnym sławnym tutejszym kontrabandzistą i ten na to, dziwnie się jakoś uśmiechał. Przyszło mi więc na myśl, że ponieważ mówią o zdrajcy między przemytnikami, którego oni od dwóch tygodni tropią.... więc czyżby to był ów zabity?....

Zrazu mocno mnie przestraszyła; ale w końcu rozważyłem, że to nie może być Ulryk; bo jakim sposobem dostałby się on między przemytników, a do tego, na tamtą stronę kordonu. Lecz gdzieżby się podział? Znowu pośpieszyłem tutaj i przybyłem przed godziną; Ulryka jeszcze nie ma. Chciałem koniecznie widzieć się z panią, opowiedzieć jéj wszystko i naradzić się.

Na tém, Holm, zdawał się niby kończyć swoje opowiadanie. Przez cały czas nie patrzałem na panią Bertossa, ale teraz spojrzawszy na nią, przeląkłem się; oczy jéj zagasły, twarz pałała gorączkowym ogniem; drżała oparta o drzewo, jak gdyby ją napadła febra.

(*d. c. n.*)

Dodatek do Zeszytu XII Kółka Domowego.



Różne ściegi do otoczenia aplikacji aksamitnéj.

Ściegi które tu podajemy w drzeworycie, służą do otoczenia aplikacji aksamitnéj, lub też na inne tego rodzaju szlaczki, robią się grubym jedwabiem lub filozelą, przewlekając nitkę jak wskazują wzory.

Objaśnienie formy mantylki wyciętéj z papieru.

Trzy części składają tę mantylkę, plecy łączą się z przodem tylko jednym szwem na ramieniu, trzecia zaś część mająca okrywać rękę poza łokieć, przyszywa się do obu poprzednich części, tylko uważać trzeba według nacięć wskazujących miejsca połączenia, która strona idzie do przodu, a która do pleców. Wiadomo że nacięcia te powinny sobie odpowiadać, to jest dwa łączyć się z dwóma przeciwnéj strony, a jedno z jedném i t. p. Mantylka ta powinna być zapiętą od szyi na kilka haftek lub guzików, następnie skrzyżowana rozchodzi się na boki. Żeby dobrze leżała, trzeba przyczepić wstążkę na szwie od pleców, przeciągnąć ją poniżéj pachy i przytwierdzić na szwie przodu. Chcąc zrobić ozdobną mantylkę naszyć ją można u brzegu do koła koronką, a po nad nią dwa lub trzy naszycia pasmanterją, lub aksamitką. (Skoro na czas nie nadejdzie z Paryża ta forma, dołączymy ją przy następującym poszycie).

O UBIORACH.

Zwiedziliśmy w tych dniach magazyn sukien i okryć kobiecych, czyli raczéj szwalnią pp. Siarczyńskich, istniejącą oddawna przy ulicy Podwale, obecnie zaś na Krak. Przed. w domu gdzie apteka pana Hakebeil'a na pierwszem piętrze. PP. Siarczyńskie trudniąc się od lat kilkunastu krawieczczyzną i wykończając sumiennie powierzone sobie ubiory, zyskały tyle zaufania ogółu, że zatrudniają kilkanaście pracownic z pomocą machiny do szycia. Jest to już dostateczną pochwałą staranności ich roboty, zwrócimy więc

tylko uwagę czytelniczek naszych, że zakład ten, uwzględniając nieznaną przed tem drożyznę, ma na celu łączyć dobry smak z oszczędnością. Bardzo to rzadka zaleta w czasach gdy wystrój sukien kosztuje tyle co materjał, a niejednokrotnie przewyższa go ceną. Widzieliśmy bardzo ładne suknie, których robota wraz z wystroiem nie wynosiła więcéj nad rubli sześć, jak np. Suknia z fjałkowego kaszmiru, ubrana u dołu spódnicy w miejscu sznura dwoma wypustkami z czarnego i białego *poult de soie* i tak samo u dołu i góry rękawa. Suknia *poil de chevre* na białem tle rzut lila z czarnem chiné, z przypinaną baskiną tworzącą paletocik na ulicę, ubrana lila wstążką i czarną koroneczką oraz suknia z bareżu wniebieskie muszki na tle białem, ze stanikiem wyciętym czworograniasto (carré) ubrana błękitném *poult de soie* i t. p. Podobny skromny a pełen dobrego smaku przybór sukien, niezmiernie nam się podobał, zwłaszcza dla młodych osób, którem bogactwo ozdób sukni nietylko że zdaniem naszem nie dodaje wdzięku, ale przeciwnie nieraz razi nie mile niestosownością swoją. Zbytek jest rzeczą względną, zatem wytworność mniejsza lub większa strojów, zawsze stosować się powinna do położenia towarzyskiego i możności tych co je noszą. Osoby zaś te które potrzebują się ubierać wykwintniéj, mogą również dogodzić swéj potrzebie, powierzając robotę wyżéj wymienionéj pracowni. Widzieliśmy tam bowiem kilka kosztowniejszych sukien również bardzo starannie wykończonych. Suknia z pięknego czarnego *gros grains* miała na każdym brycie ścinanym w kliny w odstępie na pół łokcia od dołu, ozdoby szmuklerskie, naszywane w kształcie kolumny zakończonéj u góry grelotkami. Takież same ozdoby były u góry i dołu rękawów i przyozdobiały tylny bryt sukni idąc od dołu pleców. Suknia z popeliny jedwabnéj fioletowéj z białą nitką, formy *Gabrielle* ozdobiona była aplikacją z czarnego aksamitu, tworzącą półksiężyce otoczone czarną koronką Cluny, w każdym półksiężycu mieścił się trochę w odstępie duży czarny aksamitny medaljon naszyty czarną lawą. Półksiężyce te szły w odstępach od ramienia do połowy spódnicy. Pasek ozdobiony był podobnież, na każdym zaś rękawie u dołu i u góry, był umieszczony jeden półksiężyc z medaljonem.

Suknia popielata *poult de soie* gładka ze stanikiem wyciętym czworograniasto miała około tegoż wycięcia, około rękawów i na pasku, następujące wyszycie: białą blondynę na trzy palce szeroką, drugą nieco szerszą czarną przez pół zachodzącą na pierwszą, zakończoną czarną jedwabną przezroczystą pasmanterją przerabianą czarną lawą i guziki lawowe. Suknia czarna jedwabna podobnież ubrana była białą gipiurą Cluny i miała białe kryształowe guziki. Suknia z białéj alpagi pod szyję zrobiona, miała oznaczone na staniku wycięcie czworograniasto czarną aksamitką, na któréj położona była koroneczka Cluny, tak ozdobiony pasek i rękawy, guziki zaś czarne aksamitne. Paletociki, beduiny i kaftany robione u pp. Siarczyńskich nie ustępują w niczem gotowym okryciom zakupywanym w najcelniejszych magazynach. Wystrój ich bywa mniéj lub więcéj kosztowny, jak kto sobie życzy, robota zaś kosztuje od złp. 10 do 2 rubli.

Nadmienić tu musimy jeszcze iż pp. Siarczyńskie w razie potrzeby podejmują się wykończyć suknię w dniu a nawet w pół dnia czasu. Przyjmują także robotę okryć, paletocików, mantyli, koszulek i t. p. przedmiotów. Cena roboty spódnicy z paletocikiem jest złp. 12, sukni rs. 2 lub więcéj stosownie do wypracowania ozdób tejże. Obowiązkiem jest wspierać poczciwą pracę niewieścią mającą na celu zdobycie sobie niezależnego stanowiska w społeczeństwie, tak ciężkiego do uzyskania kobiecie, któréj granice działalności, prawie wszędzie jeszcze ścieśnione. Polecamy przeto wyżéj wspomniony zakład czytelniczkom naszym, pragnąc aby rozwijał się nadal równie pomyślnie jak w obecnéj chwili.

Uważaliśmy że suknie letnie najwięcéj robią obecnie z lekkich ostrych wełnianych materjałów jak *poil de chevre* i bareże. Mają one tę dogodność że nie mną się, a zatem nie potrzebują tak mozolnego w lecie prasowania. Spódniczki i paletociki z tego samego materjału zawsze są najwięcéj używane. Paletociki czarne jedwabne również są noszone. Beduiny także nie prędko chyba wyjdą z mody. Oglądaliśmy u pani Włodkowskiéj bardzo ładne, z angielskiego wełnianego wyrobu o krzyżowanéj nitce. Najwięcéj nam się podobały białe w czarne prążki. W miejscu kapturów zwyczajnych, miały tylko na plecach jakąś wązką ozdobę, naśladującą podłużny kapturek z długiemi spadającemi końcami, lub téż rozetę z takiemiż końcami, zdobną naszyciem z białych matowych paciorków. Pani Włodkowska sprowadziła z zagranicy gotowe spódniczki i paletociki także z angielskiego materjału, na białém tle w czarne prążki strojne odpasowanemi w sztuce czarnemi pasami, naśladującemi wyszycie, biało na około brzegów stebnowane. Materjał ten jest niezmiernie trwały, nie mnie się, nie chwyta kurzu i można go prać jak płótno. Suknia taka to jest podwójna spódnica z paletocikiem kosztuje rs. 40. Spódnice podwójne robią się w ten sposób że z pod wierzchniéj podpiętéj w zgrabne festony pasami z *poult de soie* lub odpasowanemi w sztuce na suknię, widać na pół łokcia drugą z tegoż materjału spódnicę oszytą u samego dołu pasem takim jak te które stanowią wystrój całéj sukni. Spódniczki spodnie nie powinny być dłuższe jak równo z ziemią Spódnice z ogonami modne są jedynie w salonie, na ulicy zaś lub na spacerze, jeżeli się ukażą, to pewno nie u osób celujących elegancją i dobrym smakiem w ubiorze, przez takie bowiem stanowczo są odrzucone.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Merengi.

Ubij pianę z białek od sześciu jaj, gdy będzie dość tęga wsyp 3 ćwierci funta cukru tłuczonego, posyp cukrem i kładź łyżką na deskę w piec niebardzo gorący; gdy już koloru po wierzchu dostaną, wyjmij. Merengi te pieką się na desce suchéj 3 cale grubéj, aby się z dołu nie piekły ale z góry, a tem łatwiéj z papieru ułożonego na spód oddzielić mogły; potem cokolwiek łyżką ze środka wyjąwszy piany, a konfitur nakładłszy, przyłóż jednę drugą żeby formę pączka miały. Ułożywszy na półmisku w kształcie piramidy podać do nich kompót lub bitą z cukrem śmietanę.

Paszteciki w papierowych formach.

Ile potrzeba pasztecików tyle zrobić małych formek jak na biszkopty, wziąść potem tyle jaj ile formek, wpuścić w każdą jedno, posolić, masła świeżego dodać, obłożyć serdelami, łososiem, lub minogami, popieprzyć wstawić na blasze w piec, jak się tylko w pół upieką dawać zaraz na stół.

Paluszki.

Pół garnca mąki, kwaterka masła, żółtek ośm, białek ubitych na pianę sześć, ręką to dobrze rozrabiać dolawszy niepełną kwaterkę wody; wsypać potem filiżankę cukru, póty wyrabiać aż odstanie od ręki, krajać w kawałki i robić paluszki; układa się je na blachę i wstawia w piec wolny jak po chlebie.

Legumina Auf-lauf.

Pół kwarty mleka, kubek od filiżanki mąki, 5 jaj całych, wymieszać wszystko razem i robić jak następuje: włożyć w rądel niewielką łyżkę masła i rozpuścić na ogniu, parę łyżek téj zaprawy wlać, postawić na ogniu żeby się ścięła, znowu tego co pozostało połowę wylać do rądla, niech się troszkę zetnie, włożyć wtedy krajanych jabłek w środek lub jakich konfitur bez soku, wlać resztę zaprawy i na żar postawić, gdy gotowa legumina zaraz na stół dawać bo prędko opada. Najlepiéj próbować ją słomką, gdy ta się sucha wyjmuje, znak że upieczona legumina, gdy wilgotna to jeszcze surowa; trzeba w kilku miejscach próbować.

Budyń z twarogu.

Wyjmują się żółtka z dwunastu twardo ugotowanych jaj i rozcierają w donicy. Do tego się przydaje funt świeżego, lecz dobrze ze serwatki wyciśnionego twarogu i ten się razem z jajami dopóty miesza, póki się jedno z drugiem na masło nie utrze. Poczem ubija się pół funta masła na pianę, twaróg z jajami utarty do niego się kładzie i jeszcze się dziesięć żółtek jedno po drugiem wbija. Jeżeliby massa ta była za twarda, wtedy ją pół kwartą dobréj śmietany rozwolnić, można dodać potem ćwierć funta cukru i nieco utartéj skórki cytrynowéj. Na koniec wbić jeszcze pianę białek z dziesięciu jaj i wsypać ćwierć fnnta drobnych rodzenków i pół ćwierci funta większych. Formę czy rądel z którym się legumina do pieca wstawia, wysmarować trzeba masłem.

Budyń z kaszki drobnéj.

Wsypuje się funt drobnéj kaszki, do trzech kwart mleka lub śmietanki. Przystawia się do ognia wolnego, aby się kaszka tylko obwarzyła i rozpęczniała. Poczem kładzie się do niéj pół funta masła, wymięsza się dobrze i odstawia aby ostygła zupełnie. Bierze się potém ćwierć funta cukru, uciera się trochę cytrynowych skórek, wbija się szesnaście żółtek i białka z dziesięciu jaj na pianę ubite. To wszystko z trochą rodzenków, migdałów i cynamonu rozmieszawszy wstawia się do pieca w formie.

Budyń z kartoflanéj mąki.

Rozrabia się dwanaście łutów pięknéj kartoflanéj mąki ośmiu jajami; trochę mleka z kawałkiem cynamonu, gotuje się osobno, wlewa się potém w rozrobioną mąkę i znowu przystawia ażeby zawrzało. Odstawiwszy od ognia dodaje się dwanaście łutów masła. Skoro ta massa zupełnie ostygnie wbij do niéj czternaście żółtek, włóż ćwierć funta utłuczonego cukru, nieco utartéj cytryny i ćwierć funta małych rodzynków. Nakoniec dodaj białek z dwunastu jaj na pianę ubitych i wstaw w piec w formie.

Budyń z bułki.

Kraje się drobno w kostkę funt bułki, na to się nalewa kwarta mleka, ażeby bułka rozmokła. Przydaje się do tego pół funta masła, rozmieszawszy go dobrze z dziesięciu całemi jajami i sześciu żółtkami. Dodawszy potém ćwierć funta cukru i nieco utartéj skórki cytrynowéj i trochę cynamonu, wsypuje się jeszcze pół funta dużych i małych rodzynek i piecze się w formie.


KOŁKO DOMOWE
na Mc Lipiec 1866.
No 9.
No 7.
No 4.
No 5.
No 6.
No 3.
No 2.
No 8.
No 1.
No 10.
No 11.
No 13.
No 12.
w lit. A. Dzwonkowskiego i Sp.